

ROZDZIAŁ CZWARTY

POCZĄTKI NASZEJ MISJI ŚWIATOWEJ

Postępuję ścieżką Boga, nie myśląc o własnym życiu

Kiedy tylko wyszedłem z więzienia Seodaemun, udałem się do buddyjskiej świątyni Gabsa na górze Gyeryoung w prowincji Choongcheong. Musiałem tam wyleczyć rany po torturach, jakim mnie poddawano w więzieniu Seodaemun. Poza tym potrzebny był mi las, w którym mógłbym się modlić i pomyśleć nad przyszłością naszego kościoła. Było to niedługo po zakończeniu Wojny Koreańskiej, więc zdobycie żywności w ilości dostatecznej do przeżycia okazywało się często bardzo trudnym zadaniem. Mimo tych doraźnych trudności dużo ważniejszą sprawą było dla mnie przygotowanie bardziej dalekosiężnych planów. Nadal nie mieliśmy budynku kościoła dostatecznie dużego, żeby pomieścić podczas nabożeństwa wszystkich naszych wyznawców, jednak czułem, że muszę spędzić jakiś czas na zastanowieniu się nad dalszą przyszłością.

Po upadku kolonialnych rządów Japonii i po wyzwoleniu Korei w 1945 roku oba te państwa nie nawiązały stosunków dyplomatycznych. Japonia nie uznawała rządu w Seulu, a Korea uważała Japonię za wroga. Biorąc pod uwagę sytuację na świecie, uważałem, że ponowne nawiązanie kontaktów jest ważne dla obu państw. Wielokrotnie próbowałem wysłać misjonarza do Japonii, przez długi czas bez rezultatu. Dopiero Bong Choon Choi zdołał wykonać to zadanie.

W roku 1958 zaprosiłem Bong Choon Choi'a na spotkanie ze mną na górze, na tyłach świątyni Gabsa. „Musisz niezwłocznie pojechać do Japonii” — powiedziałem. — „Nie możesz wrócić do Korei zanim nie wypełnisz tej misji”.

„Tak!” — odparł bez wahania.

Zaśpiewaliśmy wtedy chrześcijański hymn koreański, zaczynający się od słów:

Wezwani przez Boga, czcimy to wezwanie

O Panie, pójdziemy, gdziekolwiek nam każesz.

Zeszliśmy wspólnie z góry, obaj w doskonałych nastrojach. Nie zapytał mnie wcale, w jaki sposób ma się utrzymać w Japonii ani jak ma rozpocząć tam swoją działalność. Bong Choon Choi był właśnie takim przepojonym odwagą człowiekiem. Dla większości Koreańczyków podróż do Japonii była zakazana. Jedynym sposobem było dla niego przedostanie się tam bez wizy. Miał przejść wiele trudnych chwil.

Bong Choon Choi nawet nie wiedział, czy będzie mógł wjechać do Japonii, ale był gotów w razie konieczności zaryzykować nawet własnym życiem. Odłożyłem na bok wszystkie inne zajęcia i siedziałem w niewielkim pomieszczeniu w kościele, modląc się aż do chwili, kiedy usłyszałem, że bezpiecznie przedostał się do Japonii. Nie jadłem ani nie spałem. Musieliśmy wtedy zaciągnąć pożyczkę w wysokości półtora miliona wonów, które mu wysłaliśmy. Mieliśmy wielu członków, którym brakowało nawet na jedzenie, ale ewangelizacja Japonii była sprawą tak wielkiej wagi, że wszystko inne trzeba było odłożyć na bok.

Na nieszczęście Bong Choon Choi został aresztowany zaraz po przyjeździe do Japonii. Wsadzili go do więzienia, najpierw w Hiroszimie, a potem w Yamaguchi, i trzymali tam aż do czasu, gdy miał być deportowany do Korei. Będąc w więzieniu postanowił, że raczej umrze, niż da się odesłać z powrotem. Wobec tego zaczął głodówkę. Podczas postu dostał gorączki. Władze japońskie postanowiły umieścić go w szpitalu i opóźnić deportację do chwili powrotu do zdrowia. Pomimo obecności strażników udało mu się uciec ze szpitala.

Po wielu wysiłkach podejmowanych przez półtora roku z narażeniem życia Bong Choon Choi w październiku 1959 roku zdołał założyć nasz kościół w Japonii. Korea i Japonia jeszcze przez sześć kolejnych lat nie nawiązały stosunków dyplomatycznych. Prawdę mówiąc, to Korea odrzucała każdą sugestię nawiązania kontaktów ze względu na bolesne wspomnienia cierpień pod kolonialnym jarzmem Japonii.

Dlatego właśnie, w imię przyszłości Korei, wysłałem potajemnie naszego misjonarza do tego wrogiego kraju. Zamiast odmawiać jakichkolwiek kontaktów, Korea powinna była ewangelizować Japonię, aby w stosunkach dwustronnych stać się starszym partnerem. Materialnie Korea była zubożała, zatem trzeba było otworzyć drogę porozumienia z przywódcami japońskimi, mieć Japonię po swojej stronie, a następnie związać się ze Stanami Zjednoczonymi. Tylko w ten sposób Korea mogła przetrwać.

W wyniku udanych starań wysłania misjonarza do Japonii, dzięki poświęceniu Bong Choon Choi'a, do naszego kościoła przyłączył się pewien wyjątkowy przywódca młodzieży imieniem Osami Kuboki, a razem z nim przysłała do nas duża grupa młodych ludzi. Dzięki ich pracy kościół japoński zapewnił sobie stabilną pozycję.

W następnym roku wysłaliśmy misjonarzy do Ameryki. Tym razem nie było żadnych kłopotów wizowych. Wszyscy przed wyjazdem dostali paszporty i wize. W sprawie paszportów pomogło nam kilku ministrów w rządzie powołanych z ramienia Partii Liberalnej, którzy swego czasu odegrali pewną rolę w zamknięciu mnie w więzieniu Seodaemun. Początkowo byli wobec nas w opozycji, ale teraz nam pomagali.

W tamtych czasach Stany Zjednoczone wydawały się nam bardzo odległym krajem. Niektórzy członkowie naszego kościoła byli przeciwni pomysłowi wysłania tam misjonarzy, twierdząc, że ważniejsze jest wzmocnienie naszego fundamentu na miejscu, w Korei. Jednakże przekonałem tych ludzi o wadze sprawy, mówiąc, że jeśli nie zostanie rozwiązany kryzys w Ameryce, to Korea zginie. W styczniu 1959 roku wyjechała tam na moje polecenie Young Oon Kim, jedna z profesorek, którą swego czasu wyrzucono z Uniwersytetu Żeńskiego Ewha. Po niej, we wrześniu tego samego roku wyjechał David S.C. Kim. Praca, którą rozpoczęli w Ameryce, była właściwie pracą dla całego świata.

Pieniądze zarobione z honorem, spożytkowane z pobożnością

Fundusze zgromadzone dzięki operacjom biznesowym są świętością. Żeby jednak zyski z interesów były święte, ważne jest, aby podczas ich prowadzenia nie kłamać ani też nie mieć przesadnie wysokich zysków. Prowadząc interesy musimy być zawsze uczciwi i nigdy nie wolno nam podwyższać zysków bardziej niż do trzydziestu procent. Pieniądze, zarobione w tak honorowy sposób, muszą być oczywiście wydane z pobożnością. Muszą być wydane na jasny i

wyraźny cel. Jest to zasada prowadzenia interesów, której nauczałem przez całe moje życie. Uważam, że celem robienia interesów nie jest po prostu samo zarabianie pieniędzy. Należy nimi także wspierać pracę misjonarzy, która jest pracą dla Boga.

Jedną z przyczyn, dla których pracowałem nad zgromadzeniem funduszy na cele misyjne poprzez biznes było to, że nie chciałem zbierać pieniędzy na ten cel od członków kościoła. Niezależnie od tego, jak bardzo wzniosły jest to cel, nie da się zrealizować wysłania misjonarzy za ocean tylko dobrymi chęciami. Takie wyjazdy wymagają funduszy. Powinny być one zarobione w imię kościoła. Fundusze na pracę misjonarzy muszą być zarobione w honorowy sposób. Tylko wtedy będziemy mogli być dumni ze wszystkiego, co zrobiliśmy.

Kiedy zastanawiałem się nad różnymi możliwościami zarobienia pieniędzy, moją uwagę zwróciły znaczki pocztowe. Zasugerowałem wtedy członkom naszego kościoła, żeby pisali do siebie listy co najmniej trzy razy w miesiącu. Wysłanie listu pocztą kosztowało czterdzieści wonów, ale zaproponowałem, żeby na swoich listach nie nalepiali jednego znaczka o wartości czterdziestu wonów. Zamiast tego poprosiłem, aby nalepiali czterdzieści znaczków, każdy o wartości jednego wona. Zbieraliśmy te stemplowane znaczki z listów, sprzedawaliśmy kolekcjonerom i udało się nam tylko w ciągu jednego roku zarobić na tym milion wonów. Widząc, że stemplowane znaczki pocztowe, które wydają się nic nie warte, mogą przynieść niemałe pieniądze od kolekcjonerów, nasi członkowie kontynuowali tę pracę przez siedem lat. Sprzedawaliśmy też czarno-białe fotografie znanych miejsc oraz popularnych osobistości ze świata rozrywki, które to fotografie podmalowywaliśmy ręcznie na różne kolory. Ten interes też znacząco wspierał nasze kościelne działania.

W miarę jak kościół rósł, znaczków czy malowanych widokówek już nie starczało do zebrania funduszy potrzebnych dla naszej pracy misjonarskiej. Aby rozsyłać naszych misjonarzy na cały świat, musieliśmy wprowadzić nasz biznes na wyższy poziom.

W roku 1962, zanim rząd koreański przeprowadził denominację pieniędzy, udało nam się kupić za 720000 wonów tokarkę, której używali Japończycy, ale potem porzucili w 1945 roku. Po denominacji była ona warta 72000 wonów. Wartość dolara wynosiła 125 wonów, zatem oficjalna wartość całej inwestycji wynosiła 576 dolarów. Umieściliśmy tokarkę w magazynie na węgiel, w domu będącym „własnością wroga”, który przez nas używany był jako kościół, i nazwaliśmy to „Tongil Industries”.

„Dla was ta tokarka może nie mieć znaczenia” — tłumaczyłem. — „Być może się zastanawiacie, co za interes mamy zamiar zrobić, instalując tu jedną starą, zużytą maszynę. A jednak urządzenie, które tu widzicie, zostanie niebawem rozmnożone do siedmiu tysięcy, a nawet do siedemdziesięciu tysięcy tokarek, a firma rozbuduje się równoległe z przemysłem samochodowym i obronnym Korei. Ta maszyna, którą tu zainstalowaliśmy, będzie kamieniem węgielnym dla budowy naszego krajowego przemysłu samochodowego. Miejcie wiarę. Miejcie przekonanie, że tak się na pewno stanie”.

Mówiłem tak do ludzi zgromadzonych przed naszym magazynem na węgiel. Początek był skromny, ale cel wzniosły i wielki. Odpowiedzieli na moje wezwanie i pracowali z pełnym oddaniem. W rezultacie w 1963 roku mogliśmy zacząć nowy biznes na nieco większą skalę. Zbudowaliśmy statek rybacki. Statek ten zwodowano w przystani w dzielnicy Manseok-Dong miasta Incheon i

ochrzczono *Cheon Seung Ho*, co oznacza „Zwycięstwo Niebios”. W ceremonii, podczas której wysłano nasz statek w pierwszą podróż po oceanie, wzięło udział około dwustu ludzi.

Woda jest źródłem życia. Wszyscy pochodzimy z łona naszych matek. Wewnątrz każdego łona jest woda, zatem rodzimy się z wody. Wodowałem ten statek z wiarą, że w podobny sposób, jak otrzymujemy życie z wody, powinniśmy wypłynąć na ocean i przejść tam szereg prób życiowych, aby później być w stanie przetrwać te próby, z którymi zmierzmy się na lądzie.

Cheon Seung Ho był wyjątkowym statkiem. Pływał po Morzu Żółtym i złowiliśmy na nim mnóstwo ryb. Wielu naszych ludzi uważało jednak, że mamy tyle do zrobienia na lądzie, iż nie powinniśmy wybierać się na ocean, aby łowić tam ryby. Ja jednak przeczuwałem, że świat wkracza właśnie w epokę oceaniczną. Zwodowanie statku *Cheon Seung Ho* było małym, ale ważnym pierwszym krokiem otwierającym ową epokę. W myślach już widziałem ogromne przestrzenie oceaniczne, po których płyną statki większe i szybsze niż *Cheon Seung Ho*.

Potęga tańca porusza świat

Nasz kościół nie był bogaty. Byliśmy biednym kościołem stworzonym przez ludzi, którzy nie mogli sobie pozwolić nawet na porządne jedzenie. Nie mieliśmy pięknych gmachów jak inne kościoły, w odróżnieniu od innych jedliśmy jęczmień, a nie ryż, i tak po trochu zbieraliśmy pieniądze. Następnie dzieliliśmy się tymi oszczędnościami z ludźmi jeszcze biedniejszymi od nas. Nasi misjonarze sypiali w nieogrzanych pomieszczeniach, rozkładając swoje postania na gołej cementowej podłodze. Kiedy nadchodził czas posiłku, oszukiwali głód, zjadając kilka gotowanych kartofli. Zawsze dbaliśmy o to, aby nie wydawać pieniędzy dla siebie.

W roku 1963 z pomocą tych zaoszczędzonych pieniędzy wybraliśmy siedemnaścioro dzieci i utworzyliśmy grupę taneczną, którą nazwaliśmy „Małe Aniołki”. W tamtych czasach w Korei organizowano bardzo niewiele imprez kulturalnych. Nie było niczego, co sami moglibyśmy obejrzeć i zabawić się, ani tym bardziej niczego, co można było pokazać ludziom w innych krajach. Każdy był zbyt zajęty walką o przetrwanie, żeby pamiętać jak wyglądają koreańskie tańce, a nawet żeby zdać sobie sprawę z faktu, że my, Koreańczycy, mamy liczącą ponad pięć tysięcy lat spuściznę kulturalną!

Planowałem nauczyć te siedemnaścioro dzieci, jak należy tańczyć, a następnie wystąpić je w świat. Wielu cudzoziemców wiedziało o Korei tylko tyle, że to biedny kraj, który dopiero co przeżył straszną wojnę. Chciałem tym ludziom pokazać piękne koreańskie tańce, aby sobie zdali sprawę, że Koreańczycy to ludzie posiadający własną, bogatą kulturę. Moglibyśmy próbować przekonać cały świat, że jesteśmy ludźmi kultury i że nasza tradycja sięga pięciu tysięcy lat, ale nikt by nam nie uwierzył, gdybyśmy nie mieli nic do pokazania.

Nasze tańce, z tancerkami ubranymi w delikatnie wirujące, piękne, długie suknie *hanbok*, to cudowna spuścizna kulturalna, mogąca przynieść nowe wrażenia ludziom Zachodu, przyzwyczajonym do oglądania tancerzy wykonujących skoki z odsłoniętymi nogami (*hanbok* to piękna, tradycyjna koreańska suknia kobieca). Nasze tańce są przesycone bolesną historią ludu koreańskiego. Ruchy w tańcu koreańskim, podczas którego tancerki mają lekko pochylone głowy i poruszają się ostrożnie, jakby nie chciały ściągać na siebie niepotrzebnej uwagi, zostały

stworzone przez Koreańczyków, których licząca pięć tysięcy lat historia jest wypełniona cierpieniami.

Kiedy tancerka unosi nogę ubraną w *beoseon*, tradycyjne koreańskie białe skarpetki, i wysuwa ją naprzód, aby zrobić pojedynczy krok, delikatnie odwraca głowę i unosi rękę. Kiedy na nią patrzę, delikatna subtelność jej ruchów wydaje się łagodzić wszystkie niepokoje i usuwać frustracje z mojego serca. Nie próbujemy w żaden sposób poruszać widowni mnóstwem słów wypowiedzianych grzmiącym głosem. Zamiast tego każdy ruch w tańcu, wykonywany z tak wielką gracją i subtelnością, porusza serca publiczności. Oto, jaka jest potęga sztuki. Pozwala, aby ludzie pomimo wzajemnej nieznajomości języka byli w stanie porozumieć się między sobą. Umożliwia porozumienie serc tym, którzy nie wiedzą nic o sobie nawzajem.

W szczególności niewinny wyraz dziecięcych twarzyczek i ich promienne uśmiechy są w stanie całkowicie zatrzeć ciemny obraz kraju, który jeszcze tak niedawno był pogrążony w wojnie. Stworzyłem ten zespół taneczny, aby zaprezentować tańce z naszej liczącej pięć tysięcy lat historii ludziom ze Stanów Zjednoczonych — kraju, który w owym czasie był najbardziej rozwiniętym państwem na świecie.

Jednak otaczające nas społeczeństwo krytykowało nasze działania bardzo ostro. Krytykowano zespół „Małych Aniołków” nie obejrzawszy nawet występu. „Kobiety z Kościoła Zjednoczeniowego tańczą dniami i nocami” — brzmiała oburzająca krytyka — „a teraz wygląda na to, że urodziły one dzieci, które też tańczą”.

Jednak żadne z tych bezsensownych plotek nie były w stanie zmienić mojego postanowienia. Byłem zdecydowany pokazać światu, jak wyglądają koreańskie tańce. Chciałem, żeby ludzie, którzy nas oskarżali o to, że jakoby tańczymy nago, mogli zobaczyć piękne ruchy tancerek lekko stąpających w swoich skarpetkach *beoseon*. To nie były żadne dzikie pląsy z obrotami i skokami bez rytmu. To były eleganckie tańce niewinnych tancerek ubranych w tradycyjne stroje naszego kraju.

„Aniołki” torują drogę przez ciemną puszcze

Kiedy umieramy, powinniśmy przekazać swoim następcom dwie rzeczy. Jedną z nich jest tradycja, drugą — edukacja. Ludziom bez tradycji nic się nie udaje. Tradycja stanowi duszę tego, co pozwala ludziom kontynuować istnienie; a naród bez duszy nie będzie w stanie przetrwać. Drugą bardzo ważną rzeczą jest edukacja. Ci, którzy nie wychowują odpowiednio swoich potomków, także przegrywają. Wykształcenie daje siłę, aby żyć z nowymi horyzontami i celami. Poprzez edukację człowiek zdobywa potrzebną mu w życiu mądrość. Człowiek, który nie umie czytać, będzie ignorantem, ale kiedy zostanie wykształcony, będzie wiedział, jak użyć swojej wiedzy, aby odpowiednio pokierować własnym życiem.

Edukacja pomaga nam zrozumieć zasady, którymi rządzi się cały świat. Aby otworzyć nowy wymiar przyszłości, powinniśmy po pierwsze przekazać naszym potomkom tradycję, której hołdowaliśmy przez tysiące lat, a po drugie zapewnić im edukację dotyczącą współczesnych zagadnień. Dopiero kiedy tradycja i nowoczesna wiedza połączą się w naszym życiu we właściwy sposób, zrodzi się prawdziwa kultura. Tradycja i edukacja są tak samo ważne i nie da się wskazać, która z nich ma

pierwszeństwo. Umiejętność zintegrowania tych obu czynników również zdobywamy w procesie edukacji.

W tym samym czasie, kiedy zakładałem zespół taneczny, otworzyłem też Artystyczną Szkołę Małych Aniołków (później nazwaną Sunhwa Arts School). Celem, jaki mi przyświecał przy tworzeniu tej szkoły, było rozszerzanie naszych ideałów na cały świat poprzez sztukę. Kwestia, czy mamy możliwości, aby prowadzić taką szkołę, miała dla mnie mniejsze znaczenie. Przede wszystkim uruchomiłem swój plan. Jeżeli cel jest wyraźny i dobry, trzeba go wprowadzić w życie jak najszybciej. Chciałem nauczyć dzieci kochać Niebo, kochać swój kraj i kochać ludzkość.

Swoje motto wypisałem chińskimi znakami: „Kochaj Niebo, Kochaj Ludzkość, Kochaj Ojczyznę”. Ktoś mnie wtedy zapytał: „Dlaczego stawiasz miłość ojczyzny na końcu, skoro twierdzisz, że twoim celem jest zapoznanie świata z wyjątkową kulturą Korei?”

Odpowiedziałem wtedy: „Skoro ktoś kocha Niebo i kocha ludzkość, to kocha również swoją ojczyznę. Miłość ojczyzny już jest w nich zawarta”.

Jeżeli jakiś Koreańczyk może sprawić, że cały świat go szanuje, już osiągnął cel, jakim jest zapoznanie świata z Koreą. „Małe Aniołki” były w wielu krajach i przedstawiały tam wspaniałość kultury koreańskiej, ale nigdy nie wygłaszały żadnych nacjonalistycznych uwag na temat swojego kraju. Obraz Korei jako kraju wielkiej kultury i tradycji zakorzenił się głęboko w umysłach ludzi, którzy widzieli ich występy i nagrodzili je szczerym aplauzem. W tym sensie „Małe Aniołki” zrobiły więcej niż ktokolwiek inny w rozreklamowaniu Korei w świecie i w praktykowaniu miłości do swojego kraju. Zawsze czuję ogromną satysfakcję, kiedy oglądam występy sopranistek Su Mi Jo i Young Ok Shin, absolwentek naszej szkoły, które zdobyły światową sławę, czy taniec Julii Moon i Sue Jin Kang, jednych z najlepszych tancerek na świecie.

Od 1965 roku, kiedy „Małe Aniołki” odbyły pierwsze zagraniczne występy w Stanach Zjednoczonych, zespół ten do dnia dzisiejszego zapoznaje cały świat z piękną tradycją koreańską. „Małe Aniołki” były zaproszone przez rodzinę królewską, aby dać występ przed królową Elżbietą II. Zaproszono je do udziału w uroczystościach z okazji dwustu lat istnienia Stanów Zjednoczonych, gdzie tańczyły w „John F. Kennedy Center for the Performing Arts”. Dały specjalny występ dla prezydenta USA Richarda Nixona, wzięły udział w festiwalu kultury i sztuk teatralnych, który stanowił część Igrzysk Olimpijskich w Seulu. „Małe Aniołki” są znane w całym świecie jako Ambasadorowie Pokoju w dziedzinie kultury.

Chciałbym teraz opowiedzieć o tym, co się wydarzyło w 1990 roku podczas mojej wizyty w Moskwie. Ostatniego wieczoru przed wyjazdem, kiedy byłem po spotkaniu z prezydentem Gorbaczowem, wystąpił nasz zespół „Małe Aniołki”. Koreańskie dziewczynki w Moskwie, w centrum komunizmu! Po wykonaniu tańców, ubrane w tradycyjne hanboki, śpiewały swoimi słodkimi głosikami ludowe pieśni rosyjskie. Okrzyki „Jeszcze!” z widowni sprawiły, że dziewczęta po prostu nie mogły zejść ze sceny. W końcu całkowicie wyczerpały cały repertuar swoich pieśni.

Na widowni była obecna Pierwsza Dama, Raisa Gorbaczow. Związek Radziecki wtedy jeszcze nie nawiązał stosunków dyplomatycznych z Koreą Południową, a w związku z tym było to niezwykle, że Pierwsza Dama zaszczyliła swoją obecnością przedstawienie zespołu z takiego kraju. Tymczasem pani Gorbaczow siedziała w pierwszym rzędzie i entuzjastycznie oklaskiwała cały

program. Po przedstawieniu przyszła na zaplecze i wręczyła zespołowi kwiaty. Kilkakrotnie wyrażała swój zachwyt nad wielkością koreańskiej kultury, mówiąc: „»Małe Aniołki« są rzeczywiście prawdziwymi aniołami pokoju. Nie wiedziałam, że Korea Południowa ma tak piękną, tradycyjną kulturę. Podczas całego przedstawienia miałam wrażenie, że śnię sen o swoim własnym dzieciństwie”. Pani Gorbaczow przytulała po kolei każdą członkinię zespołu i całowała w policzki ze słowami: „Moje małe aniołki!”

W roku 1998 zespół „Małych Aniołków” odwiedził Pyongyang w ramach pierwszego całkowicie prywatnego, pozarządowego programu kulturalnego i dał tam trzy występy. Tańczył wtedy uroczy „Taniec Małych Chłopców” oraz słynny, pełen barw „Taniec Wachlarzy”. Oglądający przedstawienie Koreańczycy z Północy mieli oczy pełne łez. Jakiś fotograf uchwycił obraz kobiety, która rzewnymi łzami wyrażała swój zachwyt. Yong Soon Kim, prezes Północno-Koreańskiego Komitetu Pokoju Azja- -Pacyfik, bardzo chwalił zespół, mówiąc: „Ten zespół utworował nową drogę poprzez ciemną puszczy”.

Tego właśnie dokonał zespół „Małe Aniołki”. Po raz pierwszy pokazał, że Koreańczycy z Północy i Południa, którzy przez tak długi czas byli odwróceny do siebie plecami, są w stanie spotkać się razem i obejrzeć występy obu stron. Ludzie często myślą, że to polityka porusza świat, ale wcale tak nie jest. Świat porusza kultura i sztuka. To uczucia, a nie rozum, trafiają w najgłębsze zakamarki ludzkich serc. A kiedy serca się zmieniają i są gotowe na przyjęcie nowych poglądów, jako rezultat zmieniają się ideologie i systemy społeczne. „Małe Aniołki” zrobiły znacznie więcej, niż tylko rozpropagowanie na świecie naszych tradycji kulturalnych. Utworzyły wąską ścieżkę pomiędzy światami, tak krańcowo różnymi od siebie.

Za każdym razem, kiedy spotykam się z zespołem „Małych Aniołków”, mówię im: „Aby przedstawić piękne tańce, musicie też mieć piękne serca. Musicie mieć piękne serca, żeby wasze twarze były piękne”. Prawdziwe piękno pochodzi z głębi naszego wnętrza. „Małe Aniołki” są w stanie poruszyć serca ludzi całego świata, gdyż piękno koreańskiej tradycji i kultura duchowa, które wyrażają swoimi tańcami, są piękne. Zatem uznanie, jakim się cieszą „Małe Aniołki”, jest właściwie uznaniem dla tradycyjnej kultury koreańskiej.

Światowe tournée

Od dzieciństwa mój umysł marzył o dalekich krajach. W moim rodzinnym mieście wdrapywałem się na górę i tam marzyłem o morzu. Kiedy przybyłem do Seulu, chciałem pojechać do Japonii. Zawsze marzyłem o jakimś miejscu — dalszym i większym niż to, w którym aktualnie przebywałem.

W 1965 roku odbyłem swoją pierwszą podróż dookoła świata. Walizkę miałem wypełnioną ziemią i kamieniami z Korei. Zaplanowałem bowiem, że w każdym kraju, do którego przybędę, zostawię trochę ziemi i kamieni z Korei, aby w ten sposób zaznaczyć połączenie Korei ze światem. W ciągu dziesięciu miesięcy objechałem czterdzieści krajów, w tym Japonię, Stany Zjednoczone i rozmaite kraje Europy. W dniu, w którym opuszczałem Seul, żegnały mnie setki członków naszego kościoła, którzy specjalnie w tym celu przyjechali autobusami i szczelnie wypełnili halę odlotów lotniska Gimpo. W owych czasach wyjazd za ocean był ważnym wydarzeniem. Nasi członkowie stali stłoczeni na lotnisku w ten styczniowy dzień na zimnym, silnym wietrze wiejącym z północnego zachodu. Nikt nie kazał im tego czynić. Zrobili to, co dyktowały im serca. Przyjąłem ich uczucia z głęboką wdzięcznością.

W tamtych czasach prowadziliśmy działalność misjonarską w dziesięciu krajach, a moim zamiarem było w ciągu najbliższych dwóch lat rozszerzyć tę działalność aż do czterdziestu krajów. Zdecydowałem się odwiedzić czterdzieści krajów podczas mojej podróży, aby ustanowić tam fundament dla przyszłych misji naszego kościoła. Pierwszym przystankiem w mojej podróży była Japonia. Zostałem wspaniale przyjęty w tym kraju, w którym Bong Choon Choi ryzykował życiem, by rozpocząć naszą misję!

Zadałem japońskim członkom naszego kościoła następujące pytanie: „Czy jesteście tylko Japończykami czy też wykroczyliście poza granice swojej narodowości?”

Mówiłem dalej: „Bóg nie chce tych, którzy przynależą tylko do swojego kraju. Nie potrzebuje tych, co czują się tylko Japończykami. Potrzebuje ludzi, którzy potrafią wykroczyć poza swój kraj. Jeżeli chcecie stać się ludźmi, których może używać Bóg, musicie wznieść się ponad przynależność do Japonii i zostać ludźmi, którzy kochają świat”. Chyba nie było im łatwo tego słuchać, ale postawiłem sprawę bardzo jasno.

Moim kolejnym celem były Stany Zjednoczone. Przybyłem do tego kraju poprzez lotnisko w San Francisco, gdzie powitali mnie nasi misjonarze. Stamtąd ruszyliśmy na objazd całego kraju. Przez cały czas mojej podróży po Ameryce czułem bardzo silnie: „Oto kraj, który przewodzi całemu światu. Nowa kultura, stworzona w przyszłości, musi wyrosnąć w oparciu o Amerykę”.

Wtedy zaplanowałem kupienie jakiegoś obiektu do przeprowadzania spotkań i warsztatów w Stanach Zjednoczonych, który mógłby pomieścić pięćset osób. Naturalnie służyłby nie tylko Koreańczykom. Miał to być obiekt międzynarodowy, który przyjmowałby ludzi z ponad stu krajów.

Na szczęście moja nadzieja szybko się spełniła. Do tego ośrodka zjeżdżali ludzie z wielu krajów. Mogli tam w ciągu kilkumiesięcznego pobytu studiować i dyskutować sprawy pokoju światowego. Ich rasa, narodowość czy religia nie czyniły żadnej różnicy.

Uważam, że na świecie pojawią się coraz bardziej dojrzałe społeczeństwa złożone z ludzi, którzy wykraczając poza granice ras, narodowości i religii oraz posiadając rozmaite światopoglądy, będą spotykać się razem i szczerze dyskutować o problemach pokoju na świecie.

Podczas podróży po Stanach Zjednoczonych odwiedziłem wszystkie stany z wyjątkiem Alaski i Hawajów. Wynajęliśmy samochód kombi i jechaliśmy dniami i nocami. Czasem, kiedy kierowca czuł się bardzo zmęczony, mówiłem do niego: „Posłuchaj. Nie przyjechaliśmy tu, żeby zwiedzać. Mamy tu do wykonania ważną pracę. Musimy jechać ostrożnie”.

Nie traciliśmy czasu, aby zatrzymywać się na posiłki. Wystarczało nam w zupełności parę kawałków chleba, kiełbasy i trochę marynowanych warzyw. W ten sposób jadaliśmy śniadanie, obiad i kolację. Spaliśmy też w samochodzie. Samochód był wtedy naszym domem, łóżkiem i restauracją. Jedliśmy, spaliśmy i modliliśmy się w tym małym samochodzie. Nie było niczego, czego by nie dało się tam zrobić. Miałem do wykonania szczególnie ważne zadanie, dlatego łatwo mi było znieść niewielkie niedogodności fizyczne.

Po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie pojechałem do Ameryki Środkowej i Południowej, a następnie do Europy. Moim zdaniem Europa pozostawała w strefie kulturalnych wpływów Watykanu. Uznałem, że nie zdołamy odnieść sukcesu w Europie bez poznania i zrozumienia

Watykanu. Nawet Alpy, podobno tak trudne do zdobycia, wydawały się być małe w porównaniu z Watykanem.

Pojechałem do Watykanu, gdzie się gromadzą na modlitwach europejscy katolicy i modliłem się z takim zapałem, że po twarzy spływały mi krople potu. Modliłem się, aby chrześcijaństwo, od dawna już podzielone na tyle wyznań i grup, mogło jak najszybciej się zjednoczyć. Bóg stworzył jeden świat, ale ludzie podzielili go tak, jak im to było wygodne. Teraz byłem przekonany bardziej niż kiedykolwiek, że te różnice muszą zniknąć, a świat ma stać się jednością. Z Europy pojechałem do Egiptu i na Bliski Wschód, gdzie po dziesięciu miesiącach zakończyłem swoją podróż.

Kiedy wróciłem do Seulu, moja walizka pełna była ziemi i kamieni ze stu dwudziestu miejsc z czterdziestu krajów. Kiedy bowiem zostawiałem ziemię i kamienie wzięte z Korei, w ich miejsce zabierałem ziemię i kamienie z każdego odwiedzonego miejsca i zawiozłem do Korei. W ten sposób związałem Koreę z tymi czterdziestoma krajami, przygotowując do dnia w przyszłości, kiedy powstanie świat pokoju z centrum w Korei. Następnie rozpocząłem przygotowania, aby do tych czterdziestu krajów wysłać naszych misjonarzy.

Ostatni samolot do Ameryki

Pod koniec 1971 roku znowu pojechałem do Stanów Zjednoczonych. Miałem do wykonania pewne zadania, które trzeba było załatwić właśnie w tym kraju, ale dostanie się do USA nie było wówczas proste. Nie jechałem tam po raz pierwszy, a mimo to musiałem niezwykle długo czekać na otrzymanie wizy. Niektórzy członkowie naszego kościoła sugerowali, żebym opóźnił wyjazd, nie mogłem jednak tego zrobić. Trudno mi było to im wytłumaczyć, ale było sprawą wielkiej wagi, abym opuścił Koreę w ściśle określonym dniu. Zatem postanowiłem pojechać najpierw do Japonii i stamtąd wystąpić o wizę amerykańską. Zależało mi na tym, żeby jak najszybciej opuścić Koreę.

Dzień, w którym wyjeżdżałem, był dosyć zimny, ale odprowadzało mnie tylu naszych członków, że nie mogli się pomieścić na terminalu lotniska. Kiedy miałem przejść przez odprawę paszportową, okazało się, że w moim paszporcie brakuje pieczętki szefa działu paszportów Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Tego stempla wymagano, gdyż dowodził on, że rząd daje mi zgodę na opuszczenie kraju. W związku z tym nie poleciałem tym rejssem, który sobie zaplanowałem.

Członkowie naszego kościoła, którzy się zajmowali zorganizowaniem mojej podróży, gorąco mnie przepaszali i radzili, żebym wrócił do domu i poczekał, aż odnajdą szefa działu i uzyskają odpowiedni stempel w moim paszporcie.

„Nie” — odpowiedziałem im. — „Poczekam tutaj, na lotnisku. Pospieszcie się i załatwcie mi ten stempel”.

Serce miałem przepiętnie potrzebą jak najszybszego wyjazdu. Niestety, to akurat była niedziela i kierownik sekcji nie pracował. Ja jednak nie mogłem pozwolić sobie na martwienie się takimi sprawami. W końcu moi ludzie poszli do domu naczelnika i uzyskali wymagany stempelek. Mogłem więc wylecieć z Korei ostatnim rejssem tego dnia. W nocy rząd ogłosił w całym kraju stan wyjątkowy i zarządził ścisłe restrykcje wyjazdów z kraju dla osób prywatnych. Poleciałem ostatnim rejssem, który mi dawał możliwość wyjazdu do Ameryki.

W Japonii wystąpiłem o wizę amerykańską, ale ponownie dostałem odmowę. Odkryłem już później, na czym polegał problem. Rząd koreański nadal trzymał w swojej bazie danych informację, że zostałem zatrzymany przez okupacyjną policję japońską tuż przed wyzwoleniem z zarzutem, że jestem komunistą. Wczesne lata siedemdziesiąte były okresem gwałtownego rozprzestrzeniania się komunizmu. Do roku 1975 nasz kościół miał już swoich misjonarzy w 127 krajach, ale z czterech krajów komunistycznych zostali wypędzeni. W tamtej epoce ewangelizacja w państwach komunistycznych groziła nawet śmiercią. Jednak nigdy nie dałem za wygraną i nadal wysyłałem misjonarzy do Związku Radzieckiego i do innych państw komunistycznych. Nasz pierwszy misjonarz w Czechosłowacji przybył tam w 1968 roku.

Okolo roku 1980 zaczęliśmy nazywać naszą pracę misyjną w komunistycznych krajach Europy Wschodniej „Misją Motyla”. Larwa musi przejść długi okres cierpienia, zanim wyrosną jej skrzydła i stanie się motylem, i czuliśmy, że było to podobne do cierpienia naszych misjonarzy działających w podziemiu w krajach komunistycznych. Dla motyla wielkim wysiłkiem jest wydostanie się z kokonu, ale kiedy już ma skrzydła, może polecieć, dokąd zechce. Tak samo i my wiedzieliśmy, że kiedy tylko komunizm upadnie, naszym misjonarzom wyrosną skrzydła i zaczną latać.

Misjonarka Young Oon Kim, która wyjechała do Stanów Zjednoczonych w początkach 1959 roku, odwiedziła wszystkie większe uniwersytety tamtego kraju, głosząc słowo Boże. Podczas swoich podróży poznała Petera Kocha, Niemca studiującego na Uniwersytecie w Berkeley w stanie Kalifornia. Ten młody człowiek zdecydował się przerwać na jakiś czas studia i popłynąć statkiem do Rotterdamu, a następnie rozpocząć pracę misjonarską w Niemczech. Misjonarzy do komunistycznych krajów Azji wysyłał się z Japonii. Musieli wyruszać do miejsc, w których mogli stracić nawet życie, bez niczego więcej niż tylko specjalnego nabożeństwa dla uczczenia ich wyjazdu.

To było dla mnie równie bolesne jak wtedy, gdy podczas naszego ostatniego spotkania w lasu sosnowym na tyłach świątyni Gabsa musiałem polecić Bong Choon Choi'owi, aby ponownie przedostał się nielegalnie do Japonii. Rodzic, zmuszony do patrzenia na cierpienia własnego dziecka, wołałby sam cierpieć zamiast niego.

Naprawdę wołałbym sam pojechać w jakieś miejsce jako misjonarz. Serce miałem przepełnione łzami, kiedy wysyłałem naszych ludzi tam, gdzie mogli być pod obserwacją, a nawet zostać zabici z powodu działalności religijnej. Po wyjeździe misjonarzy spędzałem większość czasu na modlitwie. Prawdziwie szczerze modlitwy były najlepszą rzeczą, jaką mogłem zrobić, aby chronić ich życie. Praca misjonarzy w państwach komunistycznych była naprawdę niebezpieczna. Żaden z nich nie był pewien, czy nie przechwyci go partia komunistyczna.

Ludzie wyjeżdżający jako misjonarze do krajów komunistycznych nie mogli nawet powiedzieć własnej rodzinie, dokąd jadą. Rodzice doskonale zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństw wynikających z wyjazdu do takich krajów i nigdy by nie wyrazili zgody na wyjazd swoich dzieci. Gunther Werzer został wykryty przez służby bezpieczeństwa w Związku Radzieckim i deportowany. W Rumunii, gdzie wówczas u szczytu potęgi był dyktator Nicolae Ceausescu, tajna policja stale śledziła naszych misjonarzy i podsłuchiwała ich rozmowy telefoniczne.

Było tak, jakby nasi misjonarze wchodzili do jaskini lwa. Mimo tego, liczba misjonarzy jadących do krajów komunistycznych stale rosła.

W roku 1973 w Czechosłowacji wydarzył się straszny wypadek, gdy trzydziestu naszych ludzi aresztowano. Jedną z członkiń naszego kościoła, Maria Živna podczas pobytu w więzieniu straciła życie w wieku zaledwie dwudziestu czterech lat. Była pierwszą męczenniczką, która zmarła podczas pracy misjonarskiej w kraju komunistycznym. W następnym roku umarła w więzieniu kolejna osoba.

Za każdym razem, gdy słyszałem, że któryś z naszych członków umarł w więzieniu, drętwiałem jak bryła lodu. Nie mogłem mówić ani jeść. Nie mogłem się nawet modlić. Potrafiłem tylko przez długi czas siedzieć bez ruchu, niezdolny do jakiegokolwiek działania. Moje ciało jakby obracało się w kamień. Przecież gdyby ci ludzie mnie nie poznali, gdyby nie słuchali moich nauk, nigdy by się nie znaleźli w zimnej i samotnej więziennej celi i nie umarliby taką śmiercią, jaką przyszło im umrzeć. Kiedy umierali, cierpieli za mnie. Pytałem sam siebie: „Czy moje życie jest tyle warte, żeby je wymienić na ich życie? Jak mam się podjąć odpowiedzialności za ewangelizację bloku komunistycznego, której oni się podejmują zamiast mnie?” Nie byłem w stanie mówić. Ogarniał mnie smutek, który się zdawał nie mieć końca, tak jakbym został rzucony na głęboką wodę.

I wtedy ujrzałem przed sobą Marię Živną pod postacią żółtego motyla. Ten żółty motyl, który uciekł z czechosłowackiego więzienia, trzepotał skrzydełkami, jakby mi chciał powiedzieć, że bym był silny i starał się wszystko znieść. Dźwigając swoje misyjne zadania i ryzykując życiem, Maria rzeczywiście się przeobraziła z gąsienicy w pięknego motyla.

Misjonarze pracujący w tak ekstremalnych warunkach często miewali objawienia w snach lub wizjach. Byli odizolowani i z reguły nie mogli się swobodnie komunikować z innymi ludźmi, zatem Bóg sprowadzał na nich objawienia, aby im pokazać ścieżkę, którą mają podążać. Często się zdarzało, że misjonarz, który położył się na chwilę, miał sen, w którym mu ktoś mówił: „Wstawaj szybko i idź w jakieś inne miejsce”. Wtedy wykonywał polecenie dane we śnie, tylko po to, żeby nazajutrz odkryć, iż tajna policja namierzyła miejsce jego poprzedniego pobytu. Kiedyś się zdarzyło, że członek naszego kościoła miał sen, w którym ktoś, kogo nigdy przedtem nie widział, przyszedł do niego i powiedział mu, jak ma prowadzić swoją pracę misjonarską. Później, kiedy mnie spotkał po raz pierwszy w życiu, zawołał: „Ależ to ty jesteś tą osobą, którą widziałem we śnie!”

W taki to sposób ryzykowałem własnym życiem i życiem moich wyznawców, aby obalić komunizm i zbudować Królestwo Boże na ziemi. Tymczasem Stany Zjednoczone odmówiły mi wizy, bo rzekomo miałem być komunistą! Ostatecznie dopiero w Kanadzie, kiedy już przedstawiłem materiały, ilustrujące moje wybitnie antykomunistyczne poglądy, mogłem otrzymać wizę do Stanów Zjednoczonych.

Naraziłem się na tyle kłopotów, aby wyjechać do Ameryki, w celu pojęcia walki z ciemnymi siłami, które spowodowały moralny upadek Stanów Zjednoczonych. Opuściłem Koreę, by wszcząć boj z siłami zła. W owych czasach wszystkie poważne problemy, z jakimi borykał się świat: komunizm, narkotyki, dekadencja moralna i niemoralność w ogóle, mieszały się ze sobą jak w piekielnym kotle. Oświadczyłem: „Przyjechałem do Ameryki jako strażak i jako lekarz. Jeżeli w domu wybucha pożar, powinien przyjechać strażak; jeżeli zaś ktoś zachoruje, odwiedza go lekarz”. Byłem jak strażak, który pojechał do Ameryki, by zagasić płomień niemoralności, i jak lekarz, który przybył, żeby wyleczyć Amerykę z choroby, która sprawiła, że Amerykanie przestali dostrzegać Boga i znaleźli się na skraju upadku.

W początkach lat siedemdziesiątych Ameryka była uwikłana w wojnę w Wietnamie, przeciwko której protestowali liczni działacze. Kraj był poważnie podzielony. Młodzi ludzie w poszukiwaniu sensu życia eksperymentowali z alkoholem, narkotykami i „wolnym seksem”, i w ten sposób zaniedbywali swoje nieśmiertelne dusze. Wiodąca religia, która powinna pokierować tak młodymi ludźmi, nie spełniała swojej roli. Religia nie była w stanie pomóc im w bezcelowej wędrówce i skierować na właściwą drogę życia. Hedonistyczna i materialistyczna kultura ściągała wielu młodych ludzi na dno, gdyż nie umieli znaleźć sobie miejsca, w którym ich serca doznałyby ukojenia.

Wkrótce po przybyciu do Stanów Zjednoczonych objechałem cały kraj, mówiąc do ludzi na tematy: „Przyszłość chrześcijaństwa” i „Nadzieja Boga dla Ameryki”. Występując przed ogromnymi tłumami mówiłem o słabościach Ameryki w sposób, w jaki nikt dotąd nie mówił.

Mówiłem o tym, że Ameryka powstała przede wszystkim w oparciu o ducha purytanizmu i w ciągu dwustu lat stała się najsilniejszym państwem świata, gdyż otrzymała bezgraniczną miłość i błogosławieństwo Boga. Przypominałem tłumnie zgromadzonym ludziom, że słynna „amerykańska wolność” pochodzi od Boga, ale że teraz Ameryka tego Boga od siebie odsunęła. „Ameryka posiada wielką tradycję” — mówiłem. — „Wszystko, co trzeba zrobić, to ją ożywić na nowo”. Pojechałem do Stanów Zjednoczonych, żeby obudzić ducha Ameryki, żeby uratować Amerykę przed zniszczeniem i nakłonić Amerykanów, by żałowali za swoje grzechy i zwrócili się z powrotem do Boga.

Nasza przyszłość związana jest z oceanem

Kiedy podróżowałem dookoła świata, nikt nie wiedział o istnieniu planów rozwoju fundamentów ekonomicznych. W miarę jak nasz kościół wzrastał i liczba członków powiększała się, dramatycznie wzrastały też zapotrzebowania na fundusze, które by nam pozwalały prowadzić działalność. Potrzebowaliśmy dochodów. Kiedy objeżdżałem 47 Stanów USA, starałem się dokładnie obmyślić rodzaje przedsięwzięć, które mogłyby wesprzeć planowane przez nas działania.

Zwróciłem wówczas uwagę na fakt, że Amerykanie codziennie jedzą mięso. Sprawdziłem, ile kosztuje krowa i zauważyłem, że krowa, która w Teksasie kosztuje niewiele, w Nowym Jorku jest już warta kilkaset dolarów. Ale kiedy sprawdziłem cenę tuńczyka, odkryłem, że najlepszy błękitny tuńczyk dochodzi do ceny ponad czterech tysięcy dolarów! Tymczasem tuńczyk składa przecież około miliona jaj na raz, a krowa rodzi zwykle tylko jedno cielę! Było jasne, że połów tuńczyka musi być o wiele lepszym interesem niż hodowla bydła.

Problem polegał na tym, że Amerykanie jedli stosunkowo mało ryb. Jednak Japończycy po prostu uwielbiali tuńczyki. W Stanach Zjednoczonych było wtedy wiele eleganckich japońskich restauracji, w których podawano surowego tuńczyka za bardzo wysoką cenę. Stopniowo Amerykanie zaczęli doceniać surowe rybie mięso i polubili tuńczyki.

Ziemia, na której mieszkamy, ma więcej oceanów niż lądu. Stany Zjednoczone leżą nad dwoma oceanami i dzięki temu mają mnóstwo ryb. Poza tym po przekroczeniu 322 kilometrów (dwustu mil) strefy brzegowej, żaden kraj nie ma już terytorialnych praw do oceanu. Każdy może tam pływać i łowić. Żeby zacząć hodowlę bydła, musielibyśmy kupić ziemię, natomiast na oceanie

takiej potrzeby nie było. Wszystko, czego potrzebowaliśmy, to rybackiego statku, którym moglibyśmy popłynąć dostatecznie daleko, żeby swobodnie łowić ryby.

Ocean jest pełen wszystkiego, co się nadaje do jedzenia. Poza tym powierzchnia oceanu jest wykorzystywana do transportu. Statki przewożą towary z całego świata, które są sprzedawane w różnych miejscach. Ocean kryje w sobie skarby, gwarantujące ludzkości świetlaną przyszłość. Oto dlaczego zawsze mówię, że ci, którzy troszczą się o przyszłość ludzkości, muszą także poświęcać uwagę oceanom. Jeśli potrafimy kochać i brać odpowiedzialność za oceany, bierzemy odpowiedzialność za przyszłość.

W Stanach Zjednoczonych kupiliśmy kilka statków. Nie były to wielkie statki, jakie można zobaczyć w broszurach reklamujących podróże, ale statki robocze, długości od jedenastu do około trzynastu metrów. Były to kutry rybackie wielkości jachtów, które nie miały większych wypadków. Stały w portach w Waszyngtonie, w San Francisco, w Tampa na Florydzie i na Alasce. Kupiliśmy też warsztat napraw statków.

Przeprowadziliśmy własne badania. Ulokowaliśmy po jednym naszym statku w każdym regionie i mierzyliśmy temperaturę wody. Sprawdzaliśmy ilość tuńczyków złowionych każdego dnia i zapisywaliśmy to. Nie poprzestawaliśmy na danych ekspertów — nasi ludzie sami wypływali na morza, aby zbierać informacje. Jako odniesienia używaliśmy danych pochodzących z badań miejscowych uniwersytetów. Dodatkowo sam jeździłem w te wszystkie miejsca, jakiś czas tam mieszkalem i robiłem własne badania. Żadne dane nie były tak dokładne jak nasze. Przeszliśmy przez wiele trudności przy ich prowadzeniu, ale też nie zachowywaliśmy wyników tylko dla siebie. Dzieliłiśmy się nimi z przemysłem rybnym. Wykorzystywaliśmy nowe miejsca połowu ryb. Jeżeli w jednym regionie odłowi się za dużo ryb, można uszczuplić ich populację. Ważne jest znajdowanie nowych terenów. W ciągu dość krótkiego czasu wywarliśmy niemały wpływ na amerykański przemysł rybny.

Uruchomiliśmy połowy na otwartym morzu. Naszym pomysłem było to, żeby kuter wychodził w morze i łowił tam ryby przez co najmniej sześć miesięcy bez zawracania do portu. Kiedy statek ma już tyle ryb, ile jest w stanie pomieścić, podpływa do niego statek transportowy, zabiera ryby, a z kolei kutrowi dostarcza żywność i paliwo. Statki miały chłodnie, w których można było przechowywać ryby przez długi czas. Nasz statek nosił nazwę *Nowa Nadzieja*; stał się znany z tego, że był w stanie złowić bardzo dużo ryb.

Sam wypłynąłem nim kiedyś na połów tuńczyka. Ludzie często boją się pływać na statkach. Kiedy proponowałem młodym ludziom, żeby tego spróbowali, ich pierwszą reakcją był strach. Często słyszałem, jak mówili: „Będę mieć chorobę morską. Wystarczy, że wejdę na statek, od razu mam mdłości i czuję się tak fatalnie, że mógłbym umrzeć”. Zatem ja pierwszy popłynąłem w rejs.

Od tego dnia wypływałem łodzią na połów prawie codziennie przez siedem lat. Nawet teraz, kiedy mam już dziewięćdziesiąt lat, lubię wypłynąć na ocean, gdy tylko pozwala mi na to czas. Teraz jest o wiele więcej młodych ludzi, którzy chcą pływać po oceanie. Więcej jest też kobiet, które tego chcą. Tak jest z każdym zadaniem — jeżeli przywódca zrobi coś jako pierwszy, inni pójdą za nim. W rezultacie stałem się znany jako poławiacz tuńczyka.

Jednak tylko łowienie tuńczyka nie dałoby wystarczających wyników. Trzeba było go też sprzedać po odpowiedniej cenie. Otworzyliśmy zakład, w którym obrabiano tuńczyka, a nawet sprzedawaliśmy go sami. Ładowaliśmy rybę do ciężarówek-chłodni, rozwoziliśmy i sprzedawaliśmy. Jeżeli sprzedaż była trudna, sami zakładaliśmy restauracje z owocami morza i oferowaliśmy tam tuńczyka bezpośrednio konsumentom. Kiedy już prowadziliśmy własne restauracje, nie można było nas zignorować.

Stany Zjednoczone mają trzy z czterech największych na świecie terenów połowowych. Trzy czwarte ryb całego świata żyje w wodach w pobliżu Stanów. Jednak same Stany Zjednoczone mają stosunkowo niewielki procent ludzi łowiących ryby, a ich przemysł rybny jest bardzo słabo rozwinięty. Rząd podejmował rozmaite wysiłki, żeby ten przemysł rozwinąć, ale z niewielkim skutkiem. Zaoferował nawet sprzedaż łodzi rybackich z dużym upustem pod warunkiem, że kupujący będą ich używać przez trzy lata, ale niewiele osób skorzystało z tej okazji. Jakież to frustrujące!

Kiedy zaczęliśmy inwestować pieniądze w przemysł rybny, wywoływaliśmy poruszenie w każdym porcie, do którego przybyliśmy. Nie było w tym nic dziwnego, skoro wszędzie, gdziekolwiek inwestowaliśmy, społeczność zaczynała dobrze prosperować. Ostatecznie nasza praca polegała na tym, aby stać się pionierami nowego świata. Nie tylko łowiliśmy ryby. Wytyczaliśmy ścieżki tam, gdzie jeszcze nie wytyczyli ich inni. Taka pionierska praca jest naprawdę ekscytująca!

Ocean stale ulega zmianom. Mówi się, że ludzki umysł zmienia się rano i nocą, ale ocean się zmienia z minuty na minutę. Oto dlaczego ocean jest równocześnie tajemniczy i piękny. Ocean obejmuje wszystko w niebie i na ziemi. Para wodna może się zgromadzić w jednym miejscu i utworzyć chmury, albo się staje deszczem i z powrotem spada na ziemię.

Bardzo kocham przyrodę, gdyż ona nigdy nie oszukuje. Jeżeli coś jest wysokie, staje się niższe; jeżeli jest niskie, staje się wyższe. W każdym wypadku dostosowuje swoją wysokość do poziomu. Kiedy siedzę na łodzi z wędką, mam wrażenie, jakbym miał do dyspozycji cały czas świata. Bo cóż na oceanie może nam stanąć na drodze? Kto może zmusić tu nas do pośpiechu? Mamy mnóstwo czasu dla samych siebie. Wszystko, czego nam trzeba, to patrzeć na ocean i rozmawiać z nim. Im więcej czasu spędzamy na oceanie, tym szerszy staje się nasz aspekt duchowy. Trzeba jednak pamiętać, że ocean, w jednej chwili spokojny, może już w następnej się zmienić i postać nam potężne fale. Fale kilka razy wyższe od człowieka wznoszą się nad statkiem, jakby go chciały pożreć. Silny wiatr szarpie żaglami i wydaje przerażające ryki.

A jednak pomyślmy. Nawet kiedy fale się wznoszą i wieje groźny wicher, ryby w wodzie najspokojniej sobie śpią. Unoszą się na falach, nie przeciwstawiają się im wcale. Tego właśnie nauczyłem się od ryb. Postanowiłem się nie bać, niezależnie od tego, jak srogie są fale. Pozwalałem im, żeby mnie niosły. Stawałem się jednością z łodzią i razem unosiliśmy się na falach. Od kiedy zacząłem tak robić, serce mi nigdy nie zamarło, niezależnie od tego, jakim falom musiałem sprostać. Ocean był dla mnie przez całe życie tak cudownym nauczycielem, że nawet stworzyłem program „Wyzwanie Oceanu”, w ramach którego młodzi ludzie szkoleni są na przywódców poprzez stawianie czoła wyzwaniom, jakie niesie ze sobą ocean.

Moje nadzieje na Nową Rewolucję Amerykańską

Początkowo ciepłe przyjęcie, z jakim się spotkałem u Amerykanów, zaczęło stawać się chłodne, a nawet wrogie. Było dla nich zagadką, jak przywódca religijny z Korei, jakiegoś małego znaczącego państwa, które z trudem przetrwało wojnę i głód, odważył się wezwać Amerykanów do okazania skruchy.

Zresztą miałem przeciwników nie tylko wśród Amerykanów. Szczególnie ostra była reakcja Japońskiej Armii Czerwonej, komunistycznej grupy związanej z międzynarodowym komunizmem. Zdarzyło się nawet, że zatrzymała ich FBI, kiedy próbowali przedostać się do naszego centrum treningowego w Bostonie, gdzie często się zatrzymywałem. Tyle razy próbowano uczynić mi krzywdę, że moje dzieci nie mogły chodzić do szkoły inaczej, jak tylko w towarzystwie ochrony. Z powodu nieustannego zagrożenia mojego życia, przez pewien czas przemawiałem spoza kuloodpornej szyby.

Mimo tak silnej opozycji, kazania i wykłady człowieka ze Wschodu o malutkich oczach budziły coraz większe zainteresowanie. Ludzie zaczęli słuchać moich nauk, tak bardzo odmiennych od tych, jakie słyszeli dotychczas. Zawartość wykładów, w których mówiłem o fundamentalnych zasadach wszechświata, próbując ponownie rozbudzić pionierskiego ducha Ameryki, była jak powiew świeżego powietrza dla Amerykanów pogrążonych w piekle niemoralności i lenistwa.

Dzięki moim naukom Amerykanie przeżyli rewolucję świadomości. Młodzi ludzie zaczęli podążać za mną, nazywali mnie „Ojcem Moonem” albo „Wielebnym Moonem”, ścinali swoje długie do ramion włosy i golili niechlujne brody. Gdy zmienia się wygląd zewnętrzny, zmienia się też wnętrze. W ten sposób Bóg zaczął wkraczać w serca tych młodych ludzi, wcześniej zatopionych w alkoholu i narkotykach.

Moich wykładów słuchali najróżniejsi młodzi ludzie, niezależnie od wyznania. Zdarzało się, że przerywałem wykład i pytałem: „Czy są tutaj prezbiterianie?” i wtedy wielu podnosiło ręce, wołając: „Tutaj!”. Kiedy pytałem: „Czy są tu katolicy?”, znowu podnosiły się ręce. A kiedy pytałem: „A jak tam z baptystami z Południa?”, także wtedy wielu ludzi odpowiadało: „To ja!”

„Dlaczego przychodzicie tu mnie słuchać, a nie idziecie do swojego kościoła, żeby tam wysłuchać kazania?” — pytałem. — „Idźcie do domu i do swojego kościoła, aby tam słuchać Słowa Bożego.

Kiedy to mówiłem, zgromadzona publiczność odpowiadała: „Chcemy słuchać Wielebnego Moona!”

Przychodziło coraz więcej ludzi, pojawili się nawet duchowni z kościołów prezbiterian i baptystów, prowadząc za sobą młodych ludzi ze swoich kościołów. W miarę upływu czasu Wielebny Moon stał się ikoną rewolucji świadomości w społeczeństwie amerykańskim.

Uczyłem amerykańską młodzież, jak znosić trudności. Tłumaczyłem im bardzo dokładnie, że najpierw należy się nauczyć kierować sobą, a dopiero potem kierować wszechświatem. Dzięki mojej nauce młodzi Amerykanie, żyjący dotąd w świecie chaosu, zyskiwali nową inspirację. Na moje wezwanie do czystości seksualnej i prawdziwych rodzin odpowiadali entuzjastycznymi okrzykami zgody. Przyjmowali to z tak ogromną pasją, że i ja byłem równie przejęty, wręcz czułem spływający po mnie pot.

„Czy chcecie nieść krzyż bólu?” — pytałem ich. — „Nikt nie chce iść drogą krzyżową. Wasze serca mogą tego pragnąć, ale wasze ciało odpowiada na to: >>Nie!<<”. To, że coś jest miłe dla oka, nie

znaczy, że jest też dobre dla duszy. Jest wiele rzeczy, które wydają się dobrymi, a dopiero kiedy się je dokładnie pozna, okazują się złem.

Jeżeli się złapiecie na tym, że poszukujecie wyłącznie tego, co przyjemne dla oka i staracie się iść tą drogą, powinniście natychmiast się zatrzymać i powiedzieć sobie: „ty łajdaku!” A także, jeżeli czujecie chęć jedzenia wyłącznie tego, co sprawia przyjemność waszemu smakowi, powinniście skarcić własne ciało, mówiąc mu: „ty łajdaku” i pohamować się. Wy, młodzi, czujecie pociąg do płci przeciwnej, prawda? W takim razie musicie także zająć zdecydowane stanowisko wobec tych żądz. Jeżeli człowiek nie potrafi kontrolować siebie samego, nie będzie w stanie nic zdziałać na tym świecie. Weźcie pod uwagę, że jeżeli wy się załamiecie, załamię się cały świat.

Przekazałem im motto, którym się kierowałem w młodości: „Zanim zabierzesz się do rządzenia światem, przede wszystkim udoskonal umiejętność rządzenia sobą samym”. Ameryka była bardzo bogata i jej obywatele mieli obsesję na punkcie dóbr materialnych. Znajdowałem się w środku tej kultury materialistycznej, ale mówiłem o sprawach umysłu i serca. Umysłu nie można zobaczyć ani go wziąć do ręki. Niemniej na pewno w życiu kieruje nami właśnie umysł. Bez umysłu jesteśmy niczym. Potem mówiłem o prawdziwej miłości, o miłości ześrodkowanej na Bogu, miłości, która powinna kierować naszym umysłem. Mówiłem, że można się cieszyć prawdziwą wolnością tylko wtedy, kiedy jasno rozumiemy siebie samych w oparciu o podstawę prawdziwej miłości i kiedy potrafimy sami siebie kontrolować.

Uczyłem ich o wartości ciężkiej pracy. Ciężka praca nie jest cierpieniem, ale tworzeniem. Przyczyną, dla której człowiek może pracować całe życie i być szczęśliwym, jest fakt, że praca ma związek z Bogiem. Praca ludzi polega przecież tylko na tym, że biorą to, co stworzył Bóg i przekształcają na rozmaite sposoby. Jeżeli pomyślisz, że robisz coś, by zostawić to Bogu jako pamiątkę, wówczas praca nie wzbudzi w tobie negatywnych odczuć. Wielu młodych Amerykanów było tak przepojonych zasadami dostatniego życia, jakie im zapewniała kultura materialistyczna, że nie mieli nawet pojęcia o radości, jaką daje praca. Uczyłem ich zatem pracować z radością.

Poza tym budziłem w nich radość płynącą z umiłowania natury. Ci młodzi ludzie byli jakby schwytani w pułapkę przez niemoralną kulturę miast i uczynieni niewolnikami własnego samolubnego życia; mówiłem im zatem o wspaniałości natury. Natura jest nam dana od Boga. Bóg przemawia do nas poprzez naturę. Niszczenie natury dla chwili przyjemności lub dla nieznaczonej ilości pieniędzy jest wielkim grzechem. Ta natura, którą niszczyliśmy, w końcu wróci do nas w postaci substancji zanieczyszczających środowisko, a życie naszych potomków uczyni trudniejszym. Musimy powrócić do natury, słuchać tego, co nam mówi. Mówiłem młodym Amerykanom, że gdy otworzymy nasze serca i będziemy słuchali głosu natury, usłyszymy Słowo Boże.

We wrześniu 1975 roku otworzyliśmy w Barrytown w stanie Nowy Jork Teologiczne Seminarium Zjednoczeniowe. Znajdowało się ono na północ od Nowego Jorku. Wydział był oparty na zasadach międzyreligijnych — mieliśmy profesorów reprezentujących judaizm, protestantyzm, katolicyzm, prawosławie, wreszcie filozofię Wschodu. Kiedy wykładali zasady swojej religii, studenci zadawali im mnóstwo bardzo trudnych pytań. Na zajęciach zawsze wybuchały zażarte debaty.

Gdy przedstawiciele tych wszystkich religii gromadzili się razem i dyskutowali, udawało im się przełamywać nieprzychylnie opinie, jakie mieli na temat innych wyznań, i byli w stanie lepiej

zrozumieć się nawzajem. Wielu młodych, utalentowanych ludzi kończyło nasze seminarium ze stopniem magistra i szło dalej na studia doktorskie do takich uniwersytetów jak Yale, Harvard i na inne renomowane amerykańskie uczelnie. Dzisiaj są ludźmi będącymi w stanie zostać liderami religijnymi na skalę ogólnoświatową.

Pomnik Waszyngtona, rok 1976

W latach 1974 i 1975 zostałem zaproszony do wygłoszenia prelekcji na Kapitolu. Mówiłem do członków Izby Reprezentantów na temat: „Jeden naród pod panowaniem jednego Boga”.

Przemawiałem do kongresmenów tak samo, jak przedtem do młodych ludzi na ulicy: „Ameryka powstała z błogosławieństwem Bożym. To błogosławieństwo nie zostało jednak dane tylko dla Amerykanów. Poprzez Amerykę Bóg chce dać błogosławieństwo całemu światu. Ameryka musi zrozumieć zasadę tego błogosławieństwa i poświęcić się dla ratowania całego świata. Aby to się spełniło, musi nastąpić powtórne przebudzenie, tak by Ameryka odzyskała swoją początkową duchowość. Chrześcijaństwo, podzielone teraz na dziesiątki różnych wyznań, musi się zjednoczyć i wchłonąć wszystkie inne religie, dzięki czemu przed światowymi cywilizacjami otworzy się nowa przyszłość”.

Byłem pierwszym przywódcą religijnym z zagranicy zaproszonym, aby przemawiać przed członkami Kongresu USA. Zaproszono mnie tam później po raz drugi, bo coraz więcej ludzi było zainteresowanych poznaniem „Wielebnego Moona” z Korei.

W następnym roku, 1 czerwca 1976 na Yankee Stadium w Nowym Jorku świętowaliśmy dwusetną rocznicę niepodległości. W tamtych czasach Stany Zjednoczone nie mogły świętować tej rocznicy w spokoju. Wszędzie czuło się zagrożenie komunizmem, a młodzież prowadziła życie bardzo odległe od Bożych pragnień, zanurzając się w świat narkotyków czy „wolnego seksu”. Widziałem, że Ameryka jest naprawdę poważnie chora. Udałem się na tę uroczystość, czując się jak chirurg operujący otwarte serce Nowego Jorku, który śmiertelnie chory leży przede mną.

W dniu święta spadł ulewny deszcz, a silny wiatr rozwiewał dekoracje po całym placu, nikt jednak nie próbował uciekać przed deszczem. Orkiestra zagrała „You Are My Sunshine” („Jesteś moim słońcem”) i wszyscy na stadionie zaczęli wspólnie śpiewać. Śpiewali o świetle słońca, mimo że byli przemoczeni deszczem. Ich usta śpiewały o słońcu, ale oczy płakały. Deszcz i łzy mieszały się ze sobą. I wtedy — niewiarygodne! — kiedy wszedłem na mównicę, słońce przedarło się przez chmury. Zupełnie tak, jakby Bóg wysłuchał ich śpiewu!

Kiedy byłem w szkole, zajmowałem się trochę boksem. Bywa, że uderzasz dobrego boksera nawet wiele razy, a mimo to nic mu nie jest. Jeżeli jednak uda ci się solidny cios „hakiem”, wstrząśniesz nawet najsilniejszym bokserem. Otóż ja liczyłem właśnie na takie solidne „uderzenie hakiem” w Amerykę. Uważałem, że konieczny jest o wiele większy wiec niż ten pierwszy, tak żeby imię „Sun Myung Moon” w niezatarty sposób wryło się w umyśle Ameryki.

Washington Monument stoi w parku National Mall w samym środku stolicy Stanów Zjednoczonych. Ten obelisk, wyglądający jak ostro zatemperowany ołówek, ma wysokość 169,3 metra. Od pomnika do sadzawki, w której się odbija Mauzoleum Lincolna, rozciąga się zielone pole pokryte trawą. Postanowiłem właśnie tam, w tym symbolicznym sercu Ameryki, zwołać wielki wiec.

Jednak żeby móc to zrobić, potrzebowaliśmy zgody zarówno rządu USA, jak i policji strzegącej Narodowego Parku. W owym czasie nie byłem szczególnie lubiany przez amerykańskich urzędników. Ponieważ w okresie afery Watergate zamieszczałem w prasie ogłoszenia wzywające lud Ameryki do przebaczenia byłemu prezydentowi Richardowi Nixonowi, który się znalazł w krytycznej sytuacji z powodu tej afery. Takie podejście do sprawy było wówczas wyjątkowo niepopularne. Teraz więc rząd USA stale nam odmawiał zgody na zgromadzenie; uzyskaliśmy ją dopiero na czterdzieści dni przed terminem wiecu.

Moi uczniowie też starali się mnie przekonać, że mój plan jest zbyt ambitny i że nie zdołamy go przeprowadzić. National Mall, otaczający pomnik Waszyngtona, jest otwartym parkiem pośrodku gęsto zabudowanej dzielnicy miasta. Nie ma tam zbyt wielu drzew, tylko duża przestrzeń porośnięta trawą. Gdyby zgromadzenie nie było zbyt liczne, byłoby to aż nazbyt widoczne. Aby wypełnić ten teren, potrzebowaliśmy setek tysięcy ludzi. Nasi członkowie chcieli wiedzieć, w jaki sposób można będzie to zrobić. Poprzednio tak wielkie tłumy w National Mall zgromadziło tylko dwóch ludzi. Pierwszym był doktor Martin Luther King, wygłaszający na stopniach Mauzoleum Lincolna swoją słynną obronę praw człowieka, a drugim — wielebny Billy Graham. Było to więc bardzo symboliczne miejsce. Miejsce to stało się dla mnie wyzwaniem.

Modliłem się w intencji tego wiecu bezustannie. Przemówienie, które miałem wygłosić, pisałem aż cztery razy. Na tydzień przed tym wydarzeniem ciągle jeszcze miałem mieszane uczucia, co powinienem powiedzieć w swoim wystąpieniu. Ostatecznie, na trzy dni przed wiecem ukończyłem tekst mojego przemówienia. Zwykle nie wygłaszam tekstów uprzednio przygotowanych. W tym przypadku jednak zrobiłem wyjątek, tak bardzo mi zależało, żeby wszystko wypadło jak najlepiej. Wiedziałem, że to ma być szczególnie ważne wydarzenie, choć nie byłem całkiem pewien, jaki będzie jego przebieg.

Nigdy nie zapomnę tego dnia. Był 18 września 1976 roku. Ludzie zaczęli się schodzić pod Pomnik Waszyngtona już wcześniej rano. Zgromadziło się jakieś trzysta tysięcy ludzi. Trudno było powiedzieć, skąd oni wszyscy się wzięli. Byli to ludzie najrozmaitszych kolorów włosów i skóry. Tego dnia zgromadziły się tam wszystkie rasy, jakie tylko stworzył Bóg. Bez dwóch zdań był to wiec na skalę ogólnoświatową.

Stanąłem przed tym zgromadzeniem i oświadczyłem: „Bóg przygotowywał Amerykę przez całe dwieście lat. Teraz nadszedł czas przebudzenia. Ameryka musi przyjąć odpowiedzialność za cały świat. Uzbrojona w ideologię Bogizmu musi uwolnić świat od komunizmu i ostatecznie zbudować na ziemi Królestwo Boże”. Moje przemówienie było wielokrotnie przerywane okrzykami i brawami.

Tygodnik Newsweek w fotograficznym streszczeniu wydarzeń roku 1976 zamieścił moją fotografię i uznał mnie za element ewangelicznego ruchu odnowy religijnej lat siedemdziesiątych. Z drugiej strony coraz więcej ludzi patrzyło na mnie ostrożnie i z lękiem. Dla nich byłem po prostu dziwnym czarownikiem przybyłym ze Wschodu. Nie byłem białym człowiekiem, któremu mogliby uwierzyć i pójść za nim. To, że często mówiłem rzeczy w pewien sposób odmienny od tego, co słyszeli u siebie w kościołach, sprawiało, że czuli się bardzo niepewnie. Przeszkadzała im zwłaszcza sytuacja, w której młodzi biali ludzie okazywali szacunek i słuchali Azjaty ze skośnymi, małymi oczami w kształcie rybek.

Zaczęli więc rozsiewać pogłoski, jakobym „prał mózgi” białej niewinnej młodzieży. Ta opozycyjna grupa gromadziła się z reguły na zapleczu, za tymi, którzy wykrzykiwali swoje poparcie. Wiedziałem, że czeka mnie kolejny kryzys. Nie bałem się go jednak, bo byłem pewien, że postępuję słusznie.

Stany Zjednoczone są szeroko znane jako kraj wolności i równości, kraj, do którego przybywają ludzie wszystkich ras, aby spełniło się ich „amerykańskie marzenie”. W gruncie rzeczy jest tam jednak bardzo wiele konfliktów mających swoje źródło w dyskryminacji rasowej i religijnej. To chroniczne choroby głęboko zakorzenione w historii Ameryki i dlatego o wiele trudniejsze do wyleczenia niż choroby społeczne, takie jak niemoralność i materializm, które pojawiły się w pełnych dobrobytu latach siedemdziesiątych XX wieku.

Mniej więcej w tym czasie odwiedzałem kościoły afro-amerykańskie, starając się propagować harmonię pomiędzy wyznaniem. Wśród czarnoskórych przywódców było trochę takich, którzy idąc śladami doktora Martina Luthera Kinga Juniora pracowali nad zlikwidowaniem dyskryminacji rasowej i stworzeniem Bożego świata pokoju.

Niektórzy z owych pastorów mieli ukryte w swoich suterrenach obrazy przedstawiające targi niewolników, istniejące setki lat, zanim uznano je za bezprawne. Bardzo często powtarzał się w nich motyw czarnego mężczyzny wiszącego na drzewie i palonego żywcem. Popularny był też motyw czarnych kobiet i mężczyzn, obdzieranych z ubrań i pokazywanych w ten sposób ewentualnym kupcom niewolników. Były czarne dzieci, płaczące, kiedy je zabierano od matki. Wprost trudno uwierzyć, że ludzie byli w stanie postępować tak barbarzyńsko, jak to przedstawiano na tych obrazach. „Czekajcie i patrzcie” — powiedziałem zgromadzonym w Chicago 24 października 1975 roku. — „W ciągu następnych trzydziestu lat prezydentem Stanów Zjednoczonych zostanie człowiek urodzony w międzyrasowej, czarno-białej rodzinie”.

Moje proroctwo spełniło się w dniu, kiedy prezydentem Ameryki został Barack Obama, który większą część dorosłego życia spędził w Chicago. To proroctwo nie spełniło się ot, tak sobie. Wielu ludzi przelało krew i pot, by zlikwidować konflikty rasowe, i dopiero teraz ich wysiłki zostały uwieńczone sukcesem.

Co ciekawe, na nasz wiec pod Pomnikiem Waszyngtona przyszło wielu duchownych z głównych kościołów w Ameryce; przyprowadzili też ze sobą swoich wiernych. Uznali, że moje przesłanie wykracza ponad podziały wyznaniowe i że potrafię zainspirować młodzież. Wezwałem wtedy ludzi do pokonywania podziałów wyznaniowych i religijnych, i słowa te zostały zrozumiane. Wiec pod Pomnikiem Waszyngtona okazał się prawdziwym cudem. Setki tysięcy zgromadzonych sprawiły, że stał się jednym z największych zgromadzeń w historii National Mall.

„Przelewajcie łzy za świat, nie za mnie”

Po dobrym często następuje złe. Bywało, że ludzie dorysowywali wąsy na plakatach i ogłoszeniach z moją podobizną, próbując porównywać mnie z Hitlerem. Mówili, że jestem „antysemicki” i twierdzili, że występuję przeciwko Żydom. Z chrześcijanami też były problemy. Kiedy rosła liczba idących za mną młodych ludzi oraz duchownych, którzy chcieli poznać Boską Zasadę, tradycyjne kościoły amerykańskie zaczęły mnie prześladować. Z kolei amerykańscy lewicowcy byli przeciwni

mojemu stanowisku, że Ameryka powinna być odpowiedzialna za powstrzymanie rozszerzania się w świecie komunizmu. Oni też zaczęli szukać sposobów na zahamowanie mojej działalności.

W miarę jak rosła nasza popularność, wyrażano wobec mnie wszelkie możliwe obawy i wątpliwości. Bywało, że młodzież zainspirowana moimi naukami porzucała szkołę lub pracę, aby podróżować po kraju, nauczać i zdobywać fundusze na naszą pracę. Zrozumiałe, że ich rodzice martwili się o nich.

Kiedy Stany Zjednoczone uwikłały się w aferę Watergate, spotkałem się z prezydentem Richardem Nixonem. Starłem się go namówić, żeby w kierowaniu narodem szukał Bożej woli. Wystosowałem apel do Amerykanów, by „Przebaczyli, kochali i jednoczyli się” wokół prezydenta. To wywołało protesty ze strony lewicowych mediów. Kwestie, które dotąd nie były problemem, nagle zaczęły mnie obciążać. Z kolei konserwatyści twierdzili, że jestem zbyt liberalny i że moje nauki łamią tradycyjne wartości.

Wielu chrześcijanom nie podobało się również nowe pojmowanie krzyża, które głosiłem — Jezus przyszedł na ziemię jako Mesjasz, ale jego ukrzyżowanie nie było nieuniknioną wolą Boga. Wraz z ukrzyżowaniem Jezusa, Boski plan królestwa pokoju nie powiódł się. Gdyby Izrael przyjął Jezusa jako Mesjasza, mógłby On doprowadzić do ustanowienia świata pokoju, jednocząc kultury i religie Wschodu oraz Zachodu. Jezus jednak umarł na krzyżu i Boża opatrzność pełnego zbawienia została odłożona aż do Powtórnego Przyjścia.

Takie rozumienie krzyża budziło ogromny sprzeciw. W związku z tym zarówno kościoły tradycyjne, jak i społeczność żydowska uznały mnie za swojego wroga. Jedni i drudzy próbowali rozmaitych sposobów usunięcia mnie z Ameryki, każdy z własnych powodów.

Ostatecznie znowu trafiłem do więzienia. Cała moja praca miała jeden cel — ponownie zaprowadzić w Ameryce moralność i sprawić, żeby Stany Zjednoczone z powrotem stały się krajem żyjącym zgodnie z wolą Boga. Tymczasem oskarżono mnie o niepłacenie podatków. Miałem już wtedy dobrze po sześćdziesiątce.

Podczas trzech pierwszych lat mojego pobytu w Ameryce dotacje otrzymywane z całego świata trafiały na konto bankowe założone w Nowym Jorku na moje nazwisko, ale będące pod zarządem kościoła, co jest zwykłą praktyką w niektórych kościołach. Sumy zgromadzone na tym koncie rosły dzięki oprocentowaniu. Głównym zarzutem, jaki mi postanowiono, było to, że nie zgłosiłem tego oprocentowania jako przychodu w osobistym zeznaniu podatkowym za lata od 1973 do 1975. Podatek od tych sum wynosił około 7500 dolarów. Normalnie obciążono by mnie po prostu karą pieniężną, tymczasem w 1982 roku osądzono mnie i skazano, a ostatecznie 20 lipca 1984 zostałem osadzony w federalnym zakładzie karnym w Danbury w stanie Connecticut.

Na dzień przed przewiezieniem mnie do więzienia w Danbury spotkałem się z członkami mojego kościoła zgromadzonymi w centrum szkoleniowym Belvedere w Tarrytown w stanie Nowy Jork. To było wzruszające spotkanie. Tego dnia w Belvedere zebrały się tysiące moich wyznawców, modlących się za mnie ze łzami w oczach. Zabrałem głos i poprosiłem ich, żeby nie tracili ducha.

„Jestem niewinny” — powiedziałem. — „Nie zrobiłem nic złego”.

„Widzę światło nadziei wznoszące się nad Danbury” — mówiłem im. — „Nie płaczcie nade mną, ale nad Ameryką. Kochajcie Amerykę i módlcie się za nią”. Stałem przed tymi młodymi ludźmi pogrążonymi w smutku i podniosłem ręce, dając znak nadziei.

Oświadczenie, jakie złożyłem przed pójściem do więzienia, wywołało wielkie poruszenie wśród religijnych ludzi. Powstało „Braterstwo Wspólnego Cierpienia”, zanoszono modlitwy, które mnie wspierały. Braterstwo Wspólnego Cierpienia było narastającą falą poparcia ze strony duchowieństwa wszystkich wyznań i kościołów, poruszonego atakiem na wolność religijną w Ameryce.

W dniu, w którym poszedłem do więzienia, wiedziałem, że nie mam się czego bać. Znam życie więzienne. Jednak ludzie z mojego otoczenia żywili pewne obawy. Martwili się, że mogą się znaleźć jednostki tak bardzo mi wrogie, że spróbują targnąć się na moje życie. Wchodziłem do więzienia z wysoko podniesioną głową.

„Dlaczego mój ojciec musi iść do więzienia?”

Nawet w więzieniu w Danbury przestrzegałem swojej zasady, aby żyć dla dobra innych. Wstawałem wcześniej rano i sprzątałem miejsca, które były brudne. W kantine ludzie pochylali się nad swoją porcją jedzenia i albo drzemali, albo gawędzili ze sobą; ja jednak siedziałem z wyprostowanymi plecami, możliwie najbardziej godnie. Kiedy polecano mi coś zrobić, pracowałem ciężiej niż pozostali i zwracałem uwagę na to, jak inni sobie radzą.

W wolnych chwilach czytałem Biblię. Jeden z więźniów widząc, że czytam Biblię dniem i nocą, powiedział do mnie:

„Czy to twoja Biblia? Patrz, to jest moja Biblia. Obejrzyj sobie!” — i rzucił w moją stronę jakimś pismem. Okazało się, że to pornograficzne pismo *Hustler*.

W więzieniu byłem znany jako osoba, która pracuje w milczeniu. Czytałem książki i medytowałem. Po tak przebytych trzech miesiącach zyskałem przyjaciół wśród więźniów i wśród strażników. Zaprzyjaźniłem się z człowiekiem, który był narkomanem i z tym więźniem, który powiedział, że pismo pornograficzne jest jego Biblią. Po miesiącu czy dwóch więźniowie zaczęli się ze mną dzielić drobiazgami otrzymywanymi spoza murów. Skoro już potrafiliśmy dzielić się własnym sercem, było tak, jakby do więzienia zawitała wiosna!

Tak naprawdę rząd Stanów Zjednoczonych wcale nie chciał mnie posłać do więzienia. Postawili mnie w stan oskarżenia, kiedy byłem poza krajem w podróży do Niemiec, i prawdopodobnie byłiby zadowoleni, gdybym po prostu nie wrócił. Ich celem nie było osadzenie mnie w więzieniu. Próbowali usunąć mnie z kraju. Stałem się znany w Ameryce i liczba moich wyznawców ciągle rosła. Chcieli zatem zablokować moje działania. Tak samo jak w Korei, byłem solą w oku tradycyjnych kościołów. Ponieważ wiedziałem, że właśnie taki jest ich cel, postanowiłem wrócić do Ameryki i pójść do więzienia. Miałem w Ameryce jeszcze niejedno do zrobienia.

Myślę, że pójście do więzienia nie jest wcale taką złą rzeczą. Jeżeli chcę skłonić do skruchy ludzi, którzy znajdują się w dolinie łez, muszę najpierw sam ronić łzy. Jeżeli nie doświadczę bólu serca, nie będę w stanie namówić innych, żeby się poddali Bogu. Niebo naprawdę działa w tajemniczy

sposób. Po moim uwięzieniu siedem tysięcy duchownych i innych religijnych przywódców oskarżyło rząd USA o pogwałcenie swobód religijnych i rozpoczęło starania o zwolnienie mnie.

Wśród nich był konserwatysta, wielebny Jerry Falwell z Kongregacji Południowych Baptystów, był też liberał, doktor Joseph E. Lowery, który w wiele lat później, podczas inauguracji prezydenta Obamy dawał mu błogosławieństwo. Oni stali na czele tych, którzy walczyli o moje uwolnienie. Także moja córka, In Jin, wówczas jeszcze nastolatka, poszła razem z nimi. Stała przed kilkoma tysiącami przywódców religijnych i płacząc, odczytała list, w którym apelowała do sędziego, który ogłosił wyrok w mojej sprawie:

„Życie mojego ojca było usiane łzami i cierpieniem, kiedy czynił wszystko, aby wypełnić Bożą Wolę. Teraz ma 64 lata. Jego jedyną zbrodnią jest to, że pokochał Amerykę. Niemniej w tej chwili albo zmywa naczynia w więziennej kantynie, albo czyści więzienne podłogi.

W zeszłym tygodniu odwiedziłam ojca i pierwszy raz zobaczyłam go w więziennym ubraniu. Płakałam tak, że nie mogłam przestać. Ojciec poprosił mnie, żebym nie płakała nad nim, tylko żebym się modliła za Amerykę. Poradził mi, bym swój gniew i żal przetworzyła na potężną siłę, która sprawi, że Ameryka stanie się naprawdę wolnym krajem.

Powiedział też, że kiedy jest w więzieniu, potrafi znieść każdy trud, każdą niesprawiedliwość i ponieść każdy krzyż. Wolność religii jest podstawą wolności w ogóle. Jestem szczerze wdzięczna każdemu, kto tu przyszedł, aby wesprzeć wolność religijną”.

Mój wyrok został skrócony o sześć miesięcy za dobre zachowanie, tak że wyszedłem po trzynastu miesiącach. W dniu mojego wyjścia z więzienia w Waszyngtonie odbył się bankiet na cześć mojego uwolnienia. Zgromadziło się na nim i czekało na mnie tysiąc siedmiuset duchownych chrześcijańskich i rabinów żydowskich. Kiedy przemówiłem do zebranych, powtórzyłem moje stanowisko na rzecz działania ponad religiami i wyznaniem. Mówiłem głośno do całego świata, nie przejmując się, jaką reakcję mogą wywołać wśród opozycji.

„Bóg nie jest związany z żadnym wyznaniem. Nie jest też ograniczony drugorzędnymi dyskusjami na temat doktryn. W wielkim, ojcowskim sercu Boga nie ma miejsca na żadne rozróżnienia narodowościowe czy rasowe. Nie ma tam również miejsca na podziały narodowe czy kulturowe. Także dzisiaj Bóg nadal robi wszystko, co może, by wziąć w objęcia wszystkich ludzi na świecie, ponieważ to są jego dzieci. Ameryka cierpi dzisiaj z powodu problemów rasowych, problemów, które powstały na skutek zamętu w świecie wartości oraz degradacji moralnej, problemów posuchy duchowej i upadku wiary chrześcijańskiej, wreszcie problemu ateistycznego komunizmu. Takie są powody, dla których odpowiedziałem na wezwanie Boga i przybyłem do tego kraju. Chrześcijaństwo dzisiaj musi przeżyć wielkie przebudzenie i zjednoczyć się. Kler musi też ponownie zastanowić się nad swoją rolą i odczuwać skruchę. Dzisiaj powtarza się sytuacja sprzed dwóch tysięcy lat, kiedy przyszedł Jezus i wzywał ludzi do żalu za grzechy. Musimy spełnić ważną misję, jaką Bóg powierzył Ameryce. Obecna sytuacja nie może trwać dłużej. Konieczna jest nowa reformacja”.

Po zwolnieniu z więzienia nic mnie już nie powstrzymywało. Mówiłem nawet jeszcze głośniej niż przedtem, aby przekazać ostrzeżenie upadłej Ameryce. Stale powtarzałem, i to w ostrych słowach, że powrót do miłości Bożej i moralności, to jedyny sposób ożywienia Ameryki.

Zostałem uwięziony, chociaż nie zrobiłem nic złego, ale była też w tym wola Boga. Po moim uwolnieniu ludzie, którzy pracowali nad tym, żebym odzyskał wolność, udawali się do Korei, by tam lepiej poznać moje wysiłki. Przyjeżdżali, by się dowiedzieć więcej na temat duchowości Wielebnego Moona, który potrafił przyciągnąć do siebie tylu młodych ludzi w Ameryce. Po powrocie do Stanów Zjednoczonych stu dwudziestu z tych duchownych utworzyło Radę Przywódców Religijnych Ameryki.